

O mesjanizmie i konserwatyzmie polskim – Jan Gwalbert Pawlikowski

Dawniejsza generacja, generacja epoki walk o wolność, niezupełnie dobrze pojmuje ten stan rzeczy i niesłuszny żal żywi do swych następców o to, że wygasły w ich piersiach święte ognie, które ją ożywiały. Ognie te nie wygasły, lecz żarzą się, a nie płoną. Ideały są, ale świecą za blado, aby rozświecić życie. Idea każda najpotężniejszą jest in statu nascendi – przeczytaj fragment wyboru pism Jana Gwalberta Pawlikowskiego, który ukazał się nakładem Ośrodka Myśli Politycznej.

Jan Gwalbert Pawlikowski

O mesjanizmie i konserwatyzmie polskim

Rok wydania: 2019

Wydawca: Ośrodek Myśli Politycznej

ISBN 978-83-66112-02-5

Wybór pism ekonomisty, historyka literatury, publicysty i działacza politycznego związanego z ruchem narodowym, znanego propagatora ochrony przyrody, miłośnika Tatr. W tomie zostały zawarte jego krytyki polityki i ideologii Stańczyków, uwagi o taktyce działania i ideach obozu endeckiego w różnych okresach jego działalności (u schyłku okresu zaborów, w czasie I wojny światowej i w II RP) oraz rozważania o polskim mesjanizmie (zwłaszcza w myśli Juliusza Słowackiego), kulturze i ekologii. Zachęcamy do zapoznania się z poniższym fragmentem książki.

O potrzebie rozszerzenia intelektualnego widnokągu

Zdaje mi się, że nie powiem nic nowego i nie natrafię na opozycję, jeżeli stwierdzę, że cechą charakterystyczną i klątwą współczesnego człowieka jest pesymizm.

Nie mówię o pesymizmie filozoficznym, o tym wyniku procesu myślowego, tym całokształcie idei, który z pewnego punktu oświeśla i objaśnia sobie świat i jego sprawy. Bo można, taki mając filozoficzny pogląd, czuć się przy tym zupełnie zadowolonym i szczęśliwym. „Nie ma postępu? Głupiec, kto trzymając w ręku szumiący kielich życia, troska się losem nienarodzonych jeszcze pokoleń. Daremną jest praca jednostek? Złudą ideały? Tym lepiej! Jest się swobodnym, można z pogodnym czołem żyć dla siebie, zamiast być żertwą upiorów”. Słowem – z filozofii samej nikt jeszcze nie utył ani nie schudł.

Ale mówiąc o pesymizmie nurtującym współczesnego człowieka, mam na myśli ów indywidualny, powiedziałbym psychofizjologiczny pesymizm, objawiający się brakiem zdolności do odczuwania radości życia. Jest to uczucie analogiczne z uczuciem znużenia, wyczerpania mięśniowego: jak w wyczerpanych znużeniem mięśniach, tak tu gromadzą się w duszy materię trujące, pokrewne jadom śmierci.

Jak bądź różne są tego zjawiska przyczyny, jedną z nich – i jedną z najważniejszych – jest nuda.

Nuda – co chociaż krzykiem nie utrudza gardła,
Chętnie by całą ziemię na proch miałki starła,
Aby jednym ziewnięciem połknąć całą ziemię.
– Łza mimowolna błyska w oczu jej pryzmacie...

(Baudelaire)

Tak jest, nuda. Można uczucie to nazwać inaczej, można mówić o monotonii, o szarości życia, o głodzie wrażeń... Poza tym wszystkim tkwi ona, nieśmiertelna, nuda. Już to samo, że tak różne dają jej chrzestne imiona, świadczy, że niewielu przyznaje się do jakiegokolwiek z nią parenteli. Wszak oni, pracownicy, nie mają czasu się nudzić! Nieprawda!

Tu le connais, lecteur, ce monstre délicat,
Hypocrite lecteur! mon semblable, mon frère!...

[Delikatna poczwara ta dobrze ci znana,
Obłudny czytelniku, mój bliźni, mój bracie!

(Ch. Baudelaire, *Do czytelnika*, 1910, przeł. S. Korab–
Brzozowski)]

Ona drzemie im w oczach, zwisa im na rękę, leje się w atramencie spod pióra i na ich kowadle szczyrzy zęby pod młotem, osłabiając cios twórczy kujący dzieło – niezwalczona...

Zamęt w ideach, krytycyzm, zachwianie wiary w to, w co wierzyły przeszłe pokolenia i niemożność potwierdzenia dziś jeszcze czegoś równoważnego na to miejsce: oto powody – główne przynajmniej – takiego odczuwania życia. Zmierzch bogów obleka świat szarością.

Dawniejsza generacja, generacja epoki walk o wolność, niezupełnie dobrze, zdaje mi się, pojmuje ten stan rzeczy i niesłuszny żal żywi do swych następców o to, że wygasły w ich piersiach święte ognie, które ją ożywiały. Ognie te nie wygasły, lecz żarzą się, a nie płoną. Ideały są, ale świecą za blado, aby rozświecić życie. Idea każda najpotężniejszą jest *in statu nascendi* [w trakcie tworzenia]. To, co rodząc się, wstrząsało duchami, zakwitło, wydało ziarno i opadło. Ziarno to leży w ziemi, zdrowe i żywe, ale nowa wiosna dla niego jeszcze nie przyszła. Albo znów tak fermentują się zarzuty przeciw współczesnemu człowiekowi, jak gdyby to, że mu brak wielkich ideałów, było jego winą. „Nie macie ideałów? stwórzcie je sobie!” Nie dosyć przecież ulepić sobie bożka, trzeba wierzyć w niego. A wiara „zrobić” się nie da. I powiedziałbym nawet, że to, iż nie lepimy sobie takich bożków, to także coś jak ideał, to może nawet naprawdę ideał nowy: to uczciwość sumień. Póki nie przyjdą prawe bogi, podtrzymywać trzeba płomień w lampie i szarugę czasów przeczekać. Nie w tworzeniu fetyszów więc szukać należy lekarstwa na chorobę pesymizmu: *jest lekarstwo inne*.

Oto stworzyć trzeba źródła nowych wrażeń, stworzyć nowe środki użycia. Tak każe instynkt samozachowawczy, taki jest postulat etyki względem samego siebie.

*Nie w tworzeniu fetyszów
szukać należy lekarstwa na
chorobę pesymizmu. Jest
lekarstwo inne*

A w słowach tych nie
mieści się nic, co by
miało wytwarzać
wiatr świętego
oburzenia,
podnoszący włosy na
czyjejkolwiek głowie.

Postulat ten rozumiem w ten sposób. Każde wrażenie dopóty jest przyjemnym, dopóki nie przekroczy pewnego stopnia napięcia. Przekroczywszy tę granicę, staje się przykrym. Ilościowo więc tych samych wrażeń zwiększać nie można w nieskończoność. Można jednakże zwiększać zasób wrażeń jakościowo, urozmaicając je, odnajdując nowe ich źródła. Taki to zaś nowy szereg wrażeń wytryska z pozyskania i ćwiczenia umiejętności patrzenia na świat i jego sprawy – na przyrodę i na świat ludzki; wytryska z rozszerzenia zakresu zrozumienia tego i – powiedziałbym – „współczucia” naszego z tym, co nas otacza. To, na co nauczyliśmy się patrzeć ze zrozumieniem, przestaje być dla nas obojętnym, martwym, niemym i szarym – zaczyna żyć i nabiera barw, blasku, głosu i woni. Wiedza, zrozumienie, interes czy „współczucie” dla rzeczy jest tym pryzmatem, przez który oglądana z obcej staje się „naszą”, staje się źródłem wrażeń nowych, jest to subiektywne odkrycie świata; jest to coś, jak gdyby wypadek jakiś zblazowanego Anglika wyrzucił na powierzchnię Marsa...

Rozszerzenie zatem i zakresu wiedzy, i w ogóle zakresu spraw obejmowanych sferą naszego interesu intelektualnego, rozszerzenie horyzontu myśli i odczuwania, granic „współczucia” z otaczającym nas światem – dla naszego własnego zadowolenia, dla zwiększenia sumy wrażeń i podniesienia poziomu indywidualnego szczęścia: oto co powinno być jednym ze stałych punktów naszego życiowego programu.

To, co tu jako ten program określiłem, nosi na Zachodzie nazwę „dyletantyzmu”. Rozumie się nie chodzi o „dyletantyzm” w naszym pospolitym tego słowa znaczeniu, więc o podejmowanie zadań, do których brak komuś kwalifikacji, ale o owo uzdolnienie do patrzenia ze zrozumieniem i podobańca sobie w tym, co leży poza sferą bezpośredniego interesu materialnego albo zawodowego, w ogóle o jak najdalsze rozszerzenie horyzontu naszych rozumień i upodobań. Wyraz „dyletantyzm” pochodzi od słowa oznaczającego „zamiłowanie”, „miłość”, i tym się objaśnia. W tej to szczerej, rzetelnej miłości leży różnica między „dyletantem” a brutalną odmianą gatunku *homo sapiens, aus dem Lande der Bildung*, którego wyśmiewa Fryderyk Nietzsche². *Nie sah mein Auge etwas so Buntgesprenkeltes! Hier ist ja die Heimath alien Farbentopfe!... Und wenn man auch Nierenprüfer ist: wer glaubt wohl noch, dass ihr Nieren habt! Aus Farben scheint ihr gebacken und aus geleimten Zetteln* [Przenigdy oczy moje nie widziały takiej pstrokaczyny! Ależ to jest ojczyzna garnków z farbami!.. I choćby się było badaczem nerek: któż by uwierzył, że wy nerki posiadacie! Z farb was upieczono i ze sklejonych świstków. – F. Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, przeł. W. Berent].

Dyletantyzm jest w mniemaniu niektórych znamieniem i towarzyszem dekadentyzmu. Nic błędniejszego. Jest to owszem jeden z najzdrowszych objawów współczesnego życia. Być może, że natury jałowe, które czerw toczy, uprawiają go; niezdolne do płodnej twórczości, przechodzą przez świat w roli współczujących obserwatorów, próbując woni wszystkich kwiatów. Są to tak zwani „wąchacze”. O ich dyletantyzmie można powiedzieć tyle, że jest to dyletantyzm uprawiany przez dekadentów. Czyż dekadenci również nie jedzą i nie śpią?... A przecież dlatego funkcji tych za dekadencie

uważać nie można. A zresztą ze słowem „dekadentyzm” należałoby się w ogóle ostrożniej obchodzić. Zbyt wiele bowiem rzeczy wydaje się być dekadentyzmem, kiedy się patrzy na nie przez rurę do barszczu.

*Dyletentyzm jest w
mniemaniu niektórych
znamieniem i towarzyszem
dekadentyzmu. Nic
błędniejszego*

„Dyletentyzm” nie jest bynajmniej znamieniem upadku albo bezpłodności. Jeżeli się bliżej przypatrzemy, spostrzeżemy, że jest on owszem cechą i

warunkiem wszystkich wysokich kultur i epok kulturalnego rozkwitu. Zależnie od czasu i miejsca różne przybiera on formy, ale pod tą różnością form odkryć można na pewno jego istotę. Ateny za Peryklesa, Rzym za Augusta, czasy wielkiego renesansu, wiek osiemnasty ze swymi encyklopedystami – to i wszystko były epoki dyletentyzmu. A choć po niektórych z nich nastąpił upadek, bo zresztą w dół się schodzi zazwyczaj po osiągnięciu wyżyny, to ani nie można uważać tego za regułę, ani zaprzeczyć epokom tym wielkości.

I twórcze były te epoki.

Ja też rozszerzeniu widnokągu, o którym mówię, nie waham się przypisać wpływu dodatniego na twórczość i wytwórczość. A to raz dlatego, że jak na wstępie rozwinąłem, to rozszerzenie widnokągu jest środkiem higieny intelektualnej i moralnej – a higiena rozwija siły. Oderwanie się od szarości codziennej myśli i ściśle zawodowego zajęcia, zwłaszcza jeśli to zajęcie ma zbyt jednostronny charakter,

działa jak kąpiel: sprowadza reakcję, odświeża, uzdalnia do czynu. Ale i inny wpływ podnieść potrzeba, bezpośredni już, wprost zapładniający. Każdy oto nowy pomysł, wynalazek, jakakolwiek inwencja, bez której można załatwiać kancelaryjne kawałki, ale nie tworzyć na jakimkolwiek polu, powstaje z niespodzianej asocjacji idei od siebie odległych.

Spomiędzy mnóstwa możliwych kombinacji nagromadzonych w umyśle naszym wyobrażeń, codzienność tworzy najłatwiejsze, tj. kojarzy i kombinuje idee do siebie zbliżone, które się wzajem niejako szukać nie potrzebują. Kombinacje nowe, twórcze, to kombinacje idei odleglejszych.

Może nie bardzo się pomylę, jeśli powiem, że sam geniusz nie jest zapewne niczym innym, jak zdolnością zbliżania i kombinowania idei odległych, polegającą na takiej ruchliwości umysłu, że te idee uruchamiają się, niejako stają zdolnymi do niespodzianych zbliżeń i związków. Otóż ażeby takie kombinacje, takie zatem nowe pomysły były możliwe, potrzeba naprzód pewnego zapasu wyobrażeń różnorodnych, a następnie owej gimnastyki umysłu, uzdolniającej do operowania różnorodnymi ideami. Jedno i drugie wymaga wyjścia z błędnego koła jednostronności, z deptaku codziennych form kojarzenia idei nam najbliższych, z codziennym naszym zajęciem i zawodem związanych.

Nasz narodowy charakter nie ma w sobie pierwiastka niemieckiego pedantyzmu. Niemieckość, wpływająca dziś potężnie na nasz system wychowania i na nasze życie umysłowe, wyrządziła nam więcej szkody

może na duchowym niż na wszelkich innych polach. U barków naszych czuje my bodaj jeszcze szczątki skrzydeł, które wyrastały na husarskich ramionach naszych przodków.

Rozwijać ten nasz dar od Boga dany jest zadaniem wychowania i samowychowania; *rozwijać dar lotu!* Niemieckość ze swoim pedantyzmem i ze swoją *Bildungsphilisterei*, ze swoją *Begriffshascherei* i kasarniano–abstrakcyjną, ogłupiającą systematyką, przeniesiona na nasz grunt narodowy wypełnia rolę kapłonienia lotnych ptaków przestrzeni, dla zrobienia ich rzekomo użyteczniejszymi. Rozszerzenie widnokągu i na to zło jest wielkim lekarstwem.

Znaczenie więc jego leży – jak z wywodów tych wynika – nie tylko już w podniesieniu sumy indywidualnego szczęścia. Jeśli przyczynia się do zwiększenia siły twórczej jednostek, to znaczenie jego jest społecznym.

A jeszcze o jednej społecznej korzyści chcę powiedzieć.

*Pod względem duchowym
miasto nasze wygląda jak gród
zadzumionych. Każdy,
otoczony izolującym go
murem, małym tylko,
zakratowanym okienkiem
wygląda na świat boży*

Zasklepienie się w jednostronności jest w znacznej mierze izolowaniem się w ogóle od świata zewnętrznego. Człowiek tak zasklepiony staje się owym „płazem w skorupie”, co to

wedle słów poety „nie lgnie do niego fala, ani on do fali”. Toteż pod względem duchowym miasto nasze (a nie tylko ono) wygląda jak gród zadżumionych. Każdy, otoczony izolującym go murem, małym tylko, zakratowanym okienkiem wygląda na świat boży. Naturalnie, że wtedy z tego jedynie względu interesują go przechodnie, czy który jako złodziej nie zakrada się do jego domu, albo jak obiekty mogące czasem spleen jego rozerwać tym, że ten lub ów ma chód śmieszny albo niemodny kapelusz... Tak patrzymy na siebie jak obcy, nie rozumiemy się. A to znaczy, że nie współczujemy ze sobą, nie szanujemy się, nie szanujemy w sobie nawzajem naszej indywidualności, lekceważymy się wzajemnie. Czy potrzeba dowodów na to, że tak jest? Dziś nazwać kogoś głupcem albo hultajem jest rzeczą tak zwyczajną, że się już o to nawet nikt obrazić nie może. A z tego dalej wynika, że gdy się mało waży cześć cudzą, to się mało waży cześć jako taką. A więc i swoją własną. Skoro bowiem tak łatwo mieć bez powodu opinię idioty lub hultaja, cóż szkodzi dodać jeszcze powód do tego. Byle nie wejść w kolizję z kodeksem karnym. Zapewne są ludzie wyżsi, tacy etyczni esteci, którzy nie dotkną się brudu z samego wstrętu przed brudem. Ale ogół uprawia etykę utylitarną. A dla uprawiających ją opinia publiczna, stopień pospolitego poważania czci ludzkiej, są rozstrzygającymi najczęściej o ich zachowaniu się.

Znaną jest sentencja: „wszystko poznać, jest to wszystko przebaczyć”. Nie całkiem słuszna. Kara bowiem jest konieczną i czcigodną funkcją społeczną. Ale ta funkcja nie ma nic wspólnego z napaścią i rozbojem. Sentencję ową można by może słuszniej przekształcić w ten sposób: „wszystko poznać jest to wszystko pokochać”. W każdym razie – jeśliby i w tej formie miała brzmieć jak paradoks – to w każdym razie rozszerzenie granic poznania rozszerza niewątpliwie granice sympatii i współczucia ze światem, z przyrodą, z człowiekiem. Rozszerzenie widnokągu – to siejba miłości. A miłość to najsilniejsza więźba

społeczna, miłość to stworzycielka, co wedle starogreckiego mitu z bezładnego, martwego, bezmyślnego Chaosu wyprowadziła ład, kształt, piękno, życie, światło i myśl! Miłość wreszcie to znowu najpewniejszy fundament indywidualnego szczęścia.

Fragment książki *O mesjanizmie i konserwatyzmie polskim*, wydanej przez Ośrodek Myśli Politycznej.